

DAMIAN LESZCZY SKI
Uniwersytet Wrocławski

HEGEMONIA: TAKTYKA BEZ STRATEGII
Krytyczne uwagi o filozoficzno-politycznej koncepcji
Ernesto Laclau i Chantal Mouffe

Książka Ernesto Laclau i Chantal Mouffe *Hegemonia i socjalistyczna strategia*, reklamowana jako jedno z najważniejszych osiągnięć intelektualnych współczesnej myśli lewicowej, ukazała się w polskim przekładzie po ponad dwudziestu pięciu latach od swojej angielskiej premiery¹. Jest to dobra okazja, aby nie tylko z perspektywy czasu ocenić wartość pomysłów zawartych w tej „biblii nowej lewicy”, za jaką niektórzy pracownicy uważają, ale także w sposób bardziej ogólny przyjrzeć się teoretycznym i politycznym propozycjom zwolenników socjalizmu w nowoczesnej, czy też ponowoczesnej wersji. Ponieważ moda na nową lewicę – równie spódniana w Polsce, jak wcześniej mody na egzystencjalizm, strukturalizm czy dekonstrukcję – zdaje się osiągać już apogeum, warto zobaczyć, czym fascynują się dziś kontrkulturowe salony, zanim rynek dostarczy im nowych obiektów intelektualnego kultu.

Hermeneutyka i polityka. Od razu trzeba zaznaczyć, że określanie jakiejś pracy filozoficznej jako lewicowej czy prawicowej nieuchronnie zaburza jej percepcję, która nam odczytywana jest przez pryzmat aktualnych rozstrzygnięć i propozycji politycznych. Co prawda w wypadku omawianej książki sami autorzy zachęcają do takiej właśnie interpretacji swojego dzieła, jednak, niezależnie od deklaracji, już kilkanaście pierwszych stron tekstu pokazuje, że chodzi im o coś więcej niż przedstawienie doraźnych rozwińć politycznych, a mianowicie o pokazanie, jak rzeczywiście się mają do stworzenia wiarygodnego i adekwatnego, czyli zgodnego z klasyczną definicją prawdy obrazu rzeczywistości.¹

¹ E. Laclau, Ch. Mouffe: *Hegemonia i socjalistyczna strategia. Przyczynek do projektu radykalnej polityki demokratycznej*, tłum. S. Królak. Wrocław 2007.

Warto przy okazji zauważyć, że interpretowanie wszelkich dzieł artystycznych czy naukowych przez pryzmat ich politycznej wymowy stało się dziś rzecz nie tylko dopuszczalną, ale niemal powszechną, akceptowaną nie tylko przez wyznawców ideologii podejrzanej i zwolenników tezy o represyjnym charakterze kultury, ale także przez ich ideowych przeciwników. Ten współczesny leninizm, który we wszystkim doszukiwa się ukrytych „interesów” i realizacji strategii „kto, kogo”, jest pewnym intelektualnym defektem i ograniczeniem. Mylnie brany za wnikliwy i dociekliwy, dostarcza atrakcyjnego, ale w gruncie rzeczy mało wyszukanego schematu, w który da się wtłoczyć każdą ideę. Z tej perspektywy zrozumiałe jest, że niektórzy twórcy wręcz domagają się wyłącznie politycznej interpretacji swoich dzieł, by mimo to mieć wiadomo, że prócz tzw. społecznego zaangażowania nic tam nie ma (na syndrom ten cierpi też sporo sztuki współczesnej). Niemniej, pomimo rozplenienia się takiego podejścia, nie ma powodu, aby mu ulegać, chociażby z dwóch powodów - miesza ci i sprzeczno ci. Swego czasu za przykład karykaturalnego zastosowania materializmu historycznego do analiz estetycznych uchodziły prace radzieckiego historyka sztuki Ałpatowa, który wszelkie dzieła wpisywał w kontekst walki klas, określając je jako postpowo b d reakcyjne: np. Bruegel był postpowy, gdy malował chłopstwo, Michał Anioł za reakcyjny, ponieważ „wysługiwał się” klerowi. Intelektualne prostactwo i miesza tego podejścia wydają się dziś oczywiste, jednak równie prostackie i mieszne jest kwalifikowanie dzieł Szekspira czy Melville’a jako „seksistowskich” b d interpretowanie heliocentrycznej kosmologii kopernikańskiej jako tryumfu patriarchalizmu, który Matce-Ziemi kręci się wokół Pana-Słońca - a przecie takie pomysły głoszone są dziś zupełnie powo nie przez ludzi posiadających tytuły naukowe i wykładających na znanych uczelniach. To, że narażają się oni na miesza, to jedna sprawa, drugą natomiast jest fakt, że nie dostrzegają sprzeczno ci w swoim podejściu. Jeżeli bowiem akceptujemy twierdzenie, że wszystko - idee, teorie, dzieła sztuki itd. - służy jakim politycznym interesom, musimy przyjąć jako mo liwo fakt, że również samo to twierdzenie, jako element pewnej teorii, służy jakim politycznym interesom. Pomijając już wpływające stąd trudno ci z uzasadnieniem, należałoby dopu-

ci ewentualno, te interesy owe polegają na tym, aby my, zamiast spojrzeć na rzeczywistość z dystansu, zaciemniali sobie jej obraz, interpretując wszelkie zjawiska z punktu widzenia ich politycznych konsekwencji. Krótko mówiąc, być może podstawowym politycznym interesem stojącym u podstaw interpretacji rzeczywistości przez pryzmat politycznych interesów jest niedopuszczenie do jej rzetelnego ujęcia.

W każdym razie, mimo wspomnianej tendencji, a także mimo sugestii samych autorów skierowanych nam w *Hegemonii i socjalistycznej strategii* widzieć przede wszystkim manifest polityczny, spróbujmy najpierw ocenić pracę pod kątem jej zawartości teoretycznej. Zresztą, nawet jeśli ma to być polityczny projekt, jego wartość będzie równie od tego, na ile autorom udało się właściwie rozpoznać opisywany stan rzeczy i ująć za pomocą w miarę precyzyjnie zdefiniowanych pojęć².

Wyżymanie rewizjonistów. Książka Laclau i Mouffe można podzielić na trzy części, czy też warstwy: historyczno-krytyczną, analityczno-konstrukcyjną oraz polityczno-strategiczną. Autorzy, wychodząc od wykazania niewystarczalności marksistowskiego schematu pojęciowego do analiz zjawisk społecznych, starają się skonstruować własny model tych zjawisk, sięgając do szeroko rozumianego francuskiego strukturalizmu, aby następnie, w oparciu o to, określić zadania stojące przed lewicą, czy też „postpow” polityką. Z filozoficznego punktu widzenia najbardziej interesujące są dwa pierwsze punkty, zwłaszcza, że polityczne wnioski przedstawiane są tu jako w sposób „konieczny” wynikające z nowego spojrzenia na charakter stosunków społecznych. Przyjrzyjmy się pokrótce tym wywodom.

Podstawowe tezy książki oparte są na przekonaniu, że materializm dialektyczny w wersji przedstawionej przez Marksa i jego ortodoksyjnych kontynuatorów nie był w poprawny sposób ujętymi zjawiskami społecznymi z uwagi na swój jednostronny determinizm, skrajny eko-

² Uwagi tu zawarte w równym stopniu odnoszą się do innych prac E. Laclau, gdzie rozwijane są główne idee zawarte w *Hegemonii*.... Por. np. wybór artykułów zebranych w tomie *Emancypacje* (tłum, zbior. WN DSWE, Wrocław 2005), oraz wspólne dzieło Laclau, S. i k i J. Butler: *Contingency, Universality, Hegemony: Contemporary Dialogues on the Left*. Verso, London-New York 2000. Por. również mój artykuł *Wolność od emancypacji. E. Laclau i myśli lewicy*., „Przebieg Polityczny”, nr 70, 2005.

nomizm, niedocenywanie roli „nadbudowy”, a zwłaszcza samej polityki, mylne rozpoznanie zjawiska „klasowości”, mitologizowanie roli proletariatu itd. Aby to wykazać, autorzy przez niemal pół księki szczegółowo analizują dzieła zapomnianych w większości komentatorów Marksa (głównie z kręgu rewizjonistów), takich jak Róża Luksemburg, Kautsky, Labriola, Bernstein, czy – najbardziej z nich interesujący – Gramsci, dostrzegając u nich mniej lub bardziej otwarte odrzucenie marksistowskiej ortodoksji, choć oczywiście nie tak radykalne i wiadome, jak to, które sami proponują. Lektura tych rozwlekłych analiz jest do czasu – zwłaszcza jeżeli do kwestii wierności bądź odstąpienia od myśli Marksa ma się raczej obojętny niż emocjonalny stosunek – pozwala jednak sformułować kilka ogólnych uwag. Przede wszystkim, trudno z teoretycznego punktu widzenia uzasadnić powód, dla którego odrzucanie podstawowych elementów doktryny Marksa – a twierdzenie o determinacji w ostatniej instancji niewątpliwie do takich należały – miałyby się dokonywać za pośrednictwem dzieł wymienionych autorów. Warto filozoficzna ich praca jest wyjątkowo niska i trudno znaleźć w nich cokolwiek nowego, jeżeli się tego tam wcześniej samemu nie włoży. Jeżeli przy tym Laclau i Mouffe na każdym kroku podkreślają niedostatki rozumowania rewizjonistów i zbyt mało wyraźne odrzucenie marksistowskich dogmatów, powstaje pytanie, czemu po prostu nie sięgają po prace, w których krytyka wspomnianych błędów Marksa jest przedstawiona w sposób pełniejszy, bardziej wnikliwy i teoretycznie bardziej wyrafinowany – a takich przecież nie brakuje. Przekonywanie o fundamentalnych błędach tkwiących w myśli Marksa za pomocą odniesień do pism pomniejszych marksistów wydaje się próbą dotarcia do sedna sprawy moim zdaniem najdłuższą drogą. Jedynym uzasadnieniem zainteresowania myślą wymienionych rewizjonistów byłaby ciekawość historyka idei, natomiast przywoływanie ich jako wsparcia dla rzekomo nowej teoretycznej perspektywy dla lewicy wydaje się intelektualnie bardzo naciągane.

Poza tym, nawet jeżeli założymy, że w pracach rewizjonistów rzeczywiście znajdziemy na jakieś interesujące rozwinięcie trudnościami niedość cznych od Marksowskiej doktryny, należałoby przyjąć, że zasługą ich byłoby kunsztowne odrzucenie twierdzenia, które od początku traktowane

były z dużym dystansem jako teoretycznie i metodologicznie wadliwe. Marksowska filozofia społeczna jedynie przez jej wyznawców (a nie badaczy - tu istnieje olbrzymia różnica) była traktowana jako ostateczne słowo rozumu ludzkiego w kwestii analizy stosunków społecznych. Poza tym kręgiem nawet myliciele kojarzeni z lewicą, jak Dewey czy Russell, traktowali ją z dystansem, wiadomi zawartych w niej olbrzymich uproszczeniach i błędnych diagnoz - czy to dotyczących rzekomo nieuchronnego ubożenia robotników, czy ewolucji kapitalizmu, czy te ekonomicznej roli sektora usług. Tak więc wykazanie, że Marks się pomylił w analizach społecznych i ekonomicznych, że jego teoria ma, mówiąc ogólnie, luźny kontakt z rzeczywistością i nie może pełni funkcji narzędzia przewidywania procesów społecznych, nie jest niczym trudnym. Jak wspominałem, istnieje wiele prac, w których analiza przyczyn niewydolności marksizmu, zarówno teoretycznej, jak i praktycznej, jest zbadana i przedstawiona w sposób jasny i wnikliwy, biorąc pod uwagę teoretyczne zaplecze tej doktryny, jej antropologiczne i epistemologiczne założenia *etc.* (wymieni tu można choćby prace Leszka Kołakowskiego, Andrzeja Walickiego, Arona czy Bella). Zresztą takie same zarzuty, jakie pod adresem marksizmu formułują Laclau i Mouffe, wysuwali już ponad 150 lat temu rozmaici myliciele związani z filozoficznym liberalizmem bądź konserwatyzmem. Z tej perspektywy ukazywanie jako intelektualnego odkrycia możliwość odrzucenia ekonomicznego determinizmu, a zwłaszcza szukanie ról tego odrzucenia u Rózy Luksemburg, Kautsky'ego czy Labrioli, wydaje się mało poważne, a na pewno trudne do obrony.

Marksizm: wzniosły przedmiot odrzucenia i uzależnienia. Chyba że - i to jest możliwe uzasadnienie - chodzi tu o to, aby, jak to się potocznie mówi, „zjeść ciastko i równocześnie mieć ciastko”. Chodzi więc o takie odrzucenie marksizmu, które pozwalałoby równocześnie nie *co* z marksizmu zachować. Gdyby bowiem autorom *Hegemonii...* chodziło jedynie o wykazanie błędności marksistowskiego determinizmu i jego konsekwencji, faktycznie ich teoretyczny zabieg mógłby wyglądać, kiedy mało kto determinizmu takiego broni, na zupełnie jałowy: z równym powodzeniem można by obwieszczać, że teoria samorództwa *jednak* się nie sprawdza, że w teorii Ptolemejskiej *mimo wszystko* tkwi

liczne błędy, albo, dla odmiany, i do koncepcji Dänikena głoszącej, że ludzka cywilizacja jest dziełem kosmitów, trzeba podchodzić z dystansem. Jeśli jednak Laclau i Mouffe chcą odrzucić tę doktrynę Marksa, a jednocześnie nie chcą zachować z samego dzieła Marksa, nie mogą odwołać się do myślicieli, dla których te dwa podstawowe założenia oznaczały konieczność odrzucenia całej teorii. W tej sytuacji najlepszym rodzkiem rzeczywiście będzie odwołanie się do krytyki immanentnej, pozostając w łonie doktryny i opartej na przekonaniu, że mimo błędów sama doktryna *jako* pozostaje prawdziwa i należy jej bronić. Prawdopodobnie więc jedynie dlatego przywoływane są zapomniane spekulacje Rózy Luksemburg czy Labrioli: a więc nie ze względu na ich teoretyczną doniosłość (albo nie tylko), lecz przede wszystkim z uwagi na to, że ich celem nie była wyłącznie krytyka marksizmu, lecz raczej jego poprawienie i ulepszenie, dostosowanie do nowych warunków społecznych i politycznych (cel więc był nie tylko czysto i bezinteresownie poznawczy, ale również polityczny).

Powstaje tu jednak pewna trudność. Otóż z tego, co piszą autorzy *Hegemonii...*, w oparciu o uwagi marksistowskich „rewizjonistów”, a zwłaszcza Gramsciego, można kolejno odrzucić właściwie całe jądro doktryny Marksa, z twierdzeniem „był kształtuje wiadomo” na czele. Powstaje więc pytanie: cóż właściwie pozostaje w tym wypadku z myśli Marksa, oprócz pewnych ogólnych intuicji głoszących, że idee kształtują się w jakimś związku z rodowiskiem materialnym, oraz permanentnej niezgody na istniejący stan rzeczy połączony z oparciem na teleologicznym ujęciu dziejów: wiarą w możliwość zbudowania lepszego świata? Czy marksizm pozbawiony swoich podstawowych tez nadal jest „marksizmem”? Oczywiście można dowodzić, że odrzucenie podstawowych twierdzeń autora *Kapitału* oznacza „dialektyczne rozwinięcie jego teorii przez jej zaprzeczenie”, ale tego rodzaju zabiegi, z metodologicznego punktu widzenia, mogą co najwyżej pełnić rolę przykładów typowo pseudonaukowych praktyk. Mówiąc poważnie, powyższe pytanie jest niezmiernie istotne, pozwala bowiem zastanowić się nad przyczynami stosowania rozmaitych, czasem karkołomnych zabiegów służących temu, aby mimo zaprzeczania podstawowym marksistowskim dogmatom uchronić jednak *coś* - trudno powiedzieć, co - z myśli samego Marksa.

Aby dostrzec dziwaczność takiego postępowania, wyobraźmy sobie, że zwolennicy wspomnianego Dänikena zgadzają się co do tego, że jego główne tezy są błędne, że nie istnieje kosmiczny determinizm i cywilizacja na Ziemi nie jest dziełem kosmitów, jednak stwierdzają zarazem, że to nie powód, aby odrzucić całą tę doktrynę, gdy tkwi w niej coś niesłychanie ważnego i ponadczasowego.

Szczerze mówiąc, trudno znaleźć jak sensowną teoretyczną rację za tym, aby, mimo przekonania o błędności głównych założeń marksizmu, nadal uznawać go za wartościowy i płodny podstaw dla interpretacji zjawisk społecznych. Można natomiast niewątpliwie docenić wartość marksizmu z perspektywy historii idei, dostrzegając jego wciąż aktualny wpływ jako politycznej ideologii, trudno jednak znaleźć jakie rozsądne wytłumaczenie dla traktowania poważnie marksizmu jako płodnej teorii społecznej, skoro uważa się jego podstawowe tezy za błędne (skrajnym przykładem byłby tu L. Althusser, popularny niegdyś „strukturalistyczny marksista”, któremu w trakcie analiz „wyszło”, że właściwie w dziełach Marksa w ogóle nie ma marksizmu, z wyjątkiem jednego krótkiego tekstu z 1857 r.). Skoro więc trudno znaleźć jakie racjonalne powody, dla których Laclau i Mouffe czują się w obowiązku antymarksistowskie w gruncie rzeczy tezy wyprowadzające naokoło z myśli trzeciorzędnych marksistowskich komentatorów, być może należałoby odwołać się do przyczyn bardziej irracjonalnych.

Sądząc, że sensowną byłaby tu następująca hipoteza: zasadnicze powody, dla których niektórzy myśliciele określają siebie mianem „lewicowych” nie jest w stanie oderwać się od Marksa, nawet odrzucając jego najważniejsze idee, mają charakter po części *quasi-religijny*, po części psychologiczny. Otóż myśl lewicowa, zwłaszcza w marksizmie, ujawniła w pełni swój wymiar eschatologiczny, wpisując dzieje polityczne w wiecką doktrynę zbawienia poprzez rewolucyjną emancypację w bezklasowym królestwie wolności. Ów *quasi-religijny* schemat wymaga *quasi-religijnych* rozwiązań również w kwestiach teoretycznych i metodologicznych, a więc nie tylko odwołania się do rozumu i logiki, ale również do wiary, symboli i uczuć, do swego rodzaju mistycznej aury otaczającej teorie i ich twórców. Tamże miejscami zabawnie *quasi-religijno* widać doskonale u wspomnianego

ju Althussera, który w chwilach natchnienia nazywał *Kapitał* „Księgą”, widać równie w nieco talmudystycznych dyskusjach między „ortodoksami” a „heretykami” w poszukiwaniu właściwej interpretacji słów „mistrza” i w omawianej tu niezdolności porzucenia samej doktryny. Nie chcąc oceniać samego tego zjawiska - takie irracjonalne przywiązanie do teorii i jej twórcy widoczne jest u wielu humanistów, zwłaszcza tych, których aktywność teoretyczną ogranicza się do interpretacji cudzych myśli - zwracam jedynie uwagę, że pewne zachowania niezrozumiałe na gruncie zwykłej logiki, mogą zostać wyjaśnione na poziomie uczuć.

I tu dochodzimy do psychologicznego wyjaśnienia „wierności” Marksowi. Nie wdaję się w szczegóły, moim zdaniem tylko tyle: prawdopodobnie mamy tu do czynienia ze swego rodzaju „kompleksem”. Co prawda takie „psychologizowanie” wyjaśnienie pewnych kwestii wiatopogłodych może wydawać się na nieco komiczne i naciągane, ale ostatecznie to przecież lewica spopularyzowała tzw. freudomarksizm czy modne dziś precedowanie wszystkim przez siatkę pojęć swobodnie czerpanych od Freuda czy Lacana. Można by więc, uciekając się do takich zabiegów, określić postawę lewicy pod tym względem mianem „kompleksu Portnoya”, a więc postawy charakteryzującej się równoczesnym uzależnieniem i chęcią uwolnienia się od matki-yciodajnej despotki, w tym wypadku - od filozofii Marksa. Kolejne, coraz bardziej ekstremalne próby określenia własnej tożsamości w oderwaniu od owego ródła, dokonywane poprzez nowe doświadczenia i praktyki (tu: teoretyczne, w oryginale - seksualne) prowadzą do coraz głębszej neurozy wynikającej z niewiadamiania sobie, że w końcu z nich próbuje się bezskutecznie odnaleźć to, od czego się ucieka. Marks, niczym potwór na wszechmatka, monstrualna Anna Livia Plurabelle z *Finnegans Wake* Joyce'a, wciąż pojawia się na horyzoncie myślenia i działania, zdublowany postaci Kronosa zjadającego własne dzieci.

To, co przedstawiłem wyżej jest oczywiście parodią popularnego dziś wyjaśniania rozmaitych zjawisk przez uciekanie się do rzekomej głębi psychoanalitycznych spekulacji. Skoro jednak, jak wspomniałem, traktuje się poważnie Lacanowskie gawdzianstwo i każe, by można było również warto by rozpatrzyć przedstawione tu hipotezy? A mówi się po-

wa nie, mo na doda tu jeszcze jedno, bardziej racjonalne wyja nienie: kurczowe trzymanie si Marksa wynika po prostu st d, e my liciele lewicowi maj wiadomo ubóstwa własnego zaplecza intelektualnego. Prócz Marksa - i od czasów Marksa - trudno, z jednej strony, znale jakiegokolwiek warto ciowego badacza z dziedziny nauk społecznych, który konsekwentnie głosiłby tego rodzaju eschatologiczn i rewolucyjn doktryn mog c zaspokoi ideologiczne i polityczne potrzeby przedstawicieli radykalnej lewicy, z drugiej za , łatwo pokaza , e je li takie doktryny były głoszone, miały one niewielk i ulotn warto . Cz intelektualistów radykalnej lewicy musi wiec wci odwoływa si do Marksa jako intelektualnego patrona dlatego, e nikim innym nie dysponuje.

Teoria filozoficzna i polityczna praktyka. Druga cz *Hegemonii i socjalistycznej strategii* po wi cona jest konstruowaniu nowej płaszczyzny teoretycznej, mającej docelowo pozwoli na adekwatny opis istniejącej sytuacji społecznej (na co ze wspomnianych względów nie pozwalał marksizm) i sformułowanie politycznych zada stojących przed odnowion lewic . Zanim przyjrzymy si temu bli ej, nale y wspomnie o kilku rzeczach. Po pierwsze, okre lony, empiryczny stan rzeczy mo na uj za pomoc niesko czonej liczby teoretycznych schematów poj ciowych, których warto da si mierzy na ró ne sposoby: np. zdolno ci prognostyczn , szczegółowo ci opisu, dostarczaniem reguł działania, opisywaniem regularno ci w postaci praw, ale te sam estetyk konstrukcji, ekonomicznej wykonania, spójno ci itd. Z punktu widzenia realizmu oczywi cie liczy si prawdziwo teorii, a wi c korespondencyjnie rozumiana zgodnie z rzeczywisto ci , jednak bior c pod uwag ogólnie terminów, w jakich formułowana jest ona zazwyczaj, wygodniej zaj tu stanowisko instrumentalistyczne (b d pragmatyczne), si gaj c do łatwiej dost pnych kryteriów, takich jak wspomniana zdolno do formułowania prognoz czy wzorców skutecznego osi gania celów. Po drugie, niew tliwie istnieje ró nica między teoriami formułowanymi przez nauki przyrodnicze a teoriami formułowanymi na gruncie nauk społecznych, czy, bardziej szczegółowo, teoriami filozoficznymi, tym bardziej, kiedy dotycz one rzeczywisto ci społecznej. Z uwagi na specyfik podej cia filozoficznego, kwestia ak-

ceptacji i weryfikacji teorii nie jest tu łatwa do jednoznacznego ustalenia, podobnie jak stosunek teorii do praktyki. Z pewnego skrajnego punktu widzenia - reprezentowanego m.in. przez Oakeshotta - filozoficzna teoria polityki nie ma nic wspólnego z praktyką. Jest jedynie tworem zbudowanym w oparciu o pewne idee (opisujące pewne ponadczasowe typy graniczne zjawisk, ewentualnie przyjmujące postać Kantowskich idei regulatywnych) i różni się specyficznymi dla nich, racjonalnymi prawami, odmiennymi od tych, które spotykamy w polityce jako konkretnym działaniu w konkretnych warunkach. Z tej perspektywy przekładanie teoretycznego racjonalizmu filozofii na praktyczną politykę i wyciąganie wniosków dotyczących zasad praktycznego działania na podstawie operacji dokonywanych na teorii jest działaniem metodologicznie nieuprawnionym i na dodatek szkodliwym. Z punktu widzenia innej skrajności, której głosił Marks i jego kontynuatorzy, teoria w zasadzie jest praktyką. W myśl tezy głoszonej przez filozofów powinni nie tylko opisywać świat, ale przede wszystkim go zmieniać, teoria ma dostarczać wytycznych do działania. W takim ujęciu rzeczywistość kieruje się prawami rozumu, które, nawet jeżeli się nie do uchwycenia przez pojedynczego człowieka, można dostrzec filozof znajdujący się w „awangardzie” ludzkości i potrafiący zamknąć je w teorii. Zgodnie z tymi założeniami u podstaw Hegla, przebiegiem o to samo, logiki (dialektycznej) i ontologii, logiki teorii i logiki życia społecznego są ze sobą tożsame, dlatego te konsekwencje wydobyte z analizy tej pierwszej pozwalają na formułowanie wniosków dotyczących tego, jak należy działać w tym drugim.

W takiej sytuacji nie jest problemem sama teoria - której wartość mierzona jest instrumentalnie, a więc skutecznością reguł działania, jakich dostarcza - lecz moralne i polityczne cele, których realizacji służy. Te zaś wymagają odwołania się do sfery wartości - choćby to były wartości rozumiane w sposób czysto użyteczny bądź pragmatyczny. Aby już nie wnikać w te kwestie, można powiedzieć tylko, że w takiej sytuacji zasadniczy problem teoretyczny związany z uzasadnieniem celów, których realizacji teoria ma służyć. Ona sama nie jest tu specjalnie istotna (biorąc pod uwagę możliwość opisanego dowolnego stanu rzeczy za pomocą nieskończonej liczby interpretacji) i, jak wspominałem,

jej wartość mierzona jest przede wszystkim skutecznością, w mniejszym zaś stopniu klasycznie rozumianą prawdziwością (jeśli jest skuteczna i na dodatek prawdziwa, to dobrze; jeśli jest nieprawdziwa, ale skuteczna - nie szkodzi). Jednak z teoretycznego, a więc filozoficznego punktu widzenia, najistotniejsze jest uzasadnienie celów, a więc umiejętność obrony pewnych wartości. Można z tego zrezygnować, ale jedynie za cenę oderwania filozofii od polityki i uznania, że nie może ona robić sobie prawa do kierowania ludzkim działaniem. Jeśli się na to nie godzimy, musimy umieć przede wszystkim uzasadnić cele, do których realizacji chcemy, za pomocą polityki, wprawić ludzi.

Dyskursywna teoria społeczna. Po tym wprowadzeniu przejdę do propozycji filozoficznych zawartych w *Hegemonii i socjalistycznej strategii*. Można je rozpatrywać na dwóch poziomach: formalnym czy te metodologicznym, oraz treściowym. Zaczniemy od ostatniego. Odrzucając zasadnicze koncepcje marksistowskiego ekonomizmu, należy również porzucić dualistyczny i do mechanicystyczny opis stosunków społecznych oparty na schemacie walki klas, sił reakcji i sił postępu. Odmawiając proletariatu i ekonomii uprzywilejowanej roli, Laclau i Mouffe uznają, że zasadniczymi cechami społeczeństwa (czy raczej, biorąc pod uwagę ich twierdzenie o jego „niemożliwości tego, co społeczne”) jest, z jednej strony, brak stałego centrum, wielość, zmienność i nieprzewidywalność czynników determinujących oraz relacji determinowania, z drugiej zaś istnienie zasadniczych mechanizmów antagonicznych (rodzaj bardziej wyrafinowanej walki klas) stanowiących podstawę „praktyk wiązania i praktyk hegemonicznych”.³ Hegemonia jest zaś „pewnym politycznym *rodzajem relacji, form*, jeśli można tak to ująć, *polityki*”,⁴ która nie opiera się bezpośrednio na władzy czy dominacji pewnej klasy, lecz raczej wynika ze splotu rozmaitych czynników. Jest rodzajem aktualnie akceptowanego (narzucanego) powszechnego „dyskursu”, w którym formułowany jest opis rzeczywistości społecznej, cele polityczne, w którym definiuje się spory i ich strony, normy moralne *etc.* Tego rodzaju treść (przedstawiona tu w olbrzymim przybliżeniu) zaprezentowana jest za pomocą pojęcia zaczerpniętego z dziedziny

³ *Hegemonia i socjalistyczna strategia*, s. 155.

⁴ *Ibid.*, s. 149.

szeroko rozumianego strukturalizmu, których użycie w pewnej mierze przesądza o swoistej „logice” teorii. Użycie pojęć, takich jak „dyskurs”, „znaczenie”, „znaczone” itp. w konstruowaniu modelu społeczeństwa niejako wymusza takie, a nie inne rozwinięcia i relacje pomiędzy różnymi członami modelu, co widać doskonale, gdy porównuje się ze sobą opisy rozmaitych sfer dokonywane na gruncie strukturalizmu, których schemat w pewnej mierze powielany jest w książce Laclau i Mouffe. Można więc powiedzieć, że treścią tej teorii jest w pewnej mierze skutkiem przyjęcia takiej, a nie innej formy.

Takie rozwinięcie może oczywiście wydawać się bardzo dyskusyjne i budzi rozmaite wątpliwości, w gruncie rzeczy jednak, jak pokazują poniżej, na gruncie podejścia do filozofii prezentowanego przez autorów *Hegemonii...*, jest całkowicie dopuszczalne, o ile spełnia pewne, do ograniczone kryteria. Zanim jednak do tego przejdziemy, zastanówmy się, na jakie problemy natrafił może ów „dyskursywny” model społeczeństwa.

Podstawowy metodologiczny problem dotyczy zasadności zastosowania schematów strukturalistycznego językoznawstwa do opisu rzeczywistości społecznej. Jak wielokrotnie pokazano, narzędzia lingwistyczne są zbyt ubogie do opisu tak złożonych i dynamicznych systemów, które tworzą zjawiska społeczne, nawet rozpatrywane w perspektywie „długiego trwania” - widać to choćby na przykładzie porażki strukturalnej antropologii Levi-Straussa. Dużo skuteczniejsze byłoby tu odwołanie się do teorii gier i innych matematycznych modeli, stosowanych we wczesnym stadium rozwoju strukturalizmu (przed II wojną światową). Trzeba zapytać więc o kryteria wyboru narzędzi opisu: czy zostały dostosowane do opisywanych zjawisk, czy te, przeciwnie, zjawiska, o których mowa w teorii, są w pewnej mierze konstrukcją stworzoną za pomocą uprzednio przyjętych narzędzi (jak to wielokrotnie zdarzało się w strukturalizmie).

Inne, równie ważne pytanie dotyczy zastosowanych pojęć i ich definicji. Pod tym względem *Hegemonia...* można określić jako pracę wyjątkowo eklektyczną i chaotyczną: mamy odwołania do de Saussure’a, Foucaulta, Derridy i Lacana, nie wiadomo jednak, w jakim znaczeniu używane są podstawowe pojęcia i zwroty, co, biorąc pod uwagę

nadzwyczajnie niejasno autorów b d cych ródłem inspiracji, wymagałoby z pewno ci pewnego u ci lenia. Intuicyjnie proponowany obraz wydaje si w miar jasny, jednak jakakolwiek próba bardziej szczegółowego zrozumienia, w jaki sposób dokonuj si pewne działania, jaki charakter mają pewne relacje, jest niemo liwa wła nie z uwagi na brak precyzji. Do tego mo na doł czy opini cz sto pojawiaj c si w kontek cie prac autorów, do których odwołuj si Laclau i Mouffe, daj c si stre ci w trzech dosadnych słowach: bełkot, banały i bezład. Przez bełkot rozumiem tu formułowanie wypowiedzi respektuj cych reguły gramatyki, jednak z ró nych wzgl dów niezrozumiałych b d wr cz nonsensownych (z uwagi na niejasno , niejednoznaczno i ogólnikowo)⁵; banały to zazwyczaj tautologie ukryte w powikłanych i pełnych niby-specjalistycznej terminologii zdaniach, ewentualnie przykłady jawnego b d ukrytego pustosłowia⁶, bezład dotyczy za ogólnej struktury tekstu, gdzie brak typowego porz dku opartego na przechodzeniu od

⁵ Kilka przykładów: „Ów radykalny pluralizm jest za *demokratyczny* o tyle, o ile owa samokonstytutywno ka dego z jego terminów stanowi rezultat przemieszcze dokonanych w wyobra ni demokratycznej” (s. 175); „Warunkiem tego, by relacja miała charakter ci le zewn trzny, jest niemo no przypisania jej jakiegokolwiek specyfiki poj ciowej” (s. 56); „Wł cznie relacji hegemonicznej w narracj adaptacji i rekonstrukcji, w pewn sekwencji, której nie mo na podci gn pod zasad powtórzenia, zdaje si nadawa pewne *znaczeniowej* poj ciowo zanikaj cej obecno ci.... Jest to jednak obecno nad wyraz ulotna, gdy saga hegemonii bardzo szybko dobiega kresu” (s. 59); „Znak jest nazw p kni cia, rozszczepienia niemo liwo ci zszycia znaczonego ze znaczym” (s. 121); „Obecno ‘Innego’ nie jest logiczn niemo liwo ci : on istnieje, a zatem nie jest sprzeczno ci ” (s. 135) - i tak dalej.

⁶ Przykłady: „Dyskursy tworzc ce pole klasycznego marksizmu mog pomóc nam w zbudowaniu nowej my li lewicowej: zachowuj c niektóre z ich poj , przekształcaj b d porzucaj c inne i rozpraszaj c si w niesko czonej przestrzeni intertekstualno ci dyskursów emancypacyjnych, w której ramach kształtów nabiera wiele tego, co społeczne” (s. 7); „To co zdeterminowane, ustanawiaj c sw swoisto jako konieczno , zakre la granice zmienno ci tego, co niezdeterminowane” (s. 52); „Komunistyczna enumeracja dokonuje si w dychotomicznej przestrzeni ustanawiaj cej antagonizm mi dzy sektorami panuj cymi a ludowymi, przy czym to samo ich obu konstruowana jest przez wyliczanie ich konstytutywnych sektorów klasowych” (s. 68); „Logika hegemonii jako logika powi zania i przygodno ci pocz łą okre la i warunkowa sam to samo hegemonicznych podmiotów” (s. 94); „Niedaj ce si znie napi cie mi dzy wn trzem a zewn trzem stanowi warunek wszelkiej praktyki społecznej: konieczno istnieje jedynie jako cz ciowe ograniczenie pola przygodno ci” (s. 119); „Znak jest nazw p kni cia, rozszczepienia niemo liwo ci zszycia znaczonego ze znaczym” (s. 121) - i tak dalej.

przesłanek do wniosków: w tym wypadku wnioski w wi kszo ci maj form arbitralnych definicji lu no zwi zanych z tym, co je poprzedza⁷.

Inna sprawa, to adekwatno proponowanego przez Laclau i Mouffe obrazu społecze stwa. Jak wspomniałem, wiele elementów przedstawionego opisu stanowi po prostu poj ciowe konsekwencje zastosowanego j zyka, dla których cz sto trudno znale jakie konkretne desygnaty (mamy tu do czynienia ze specyficzn ontologizacją terminologii, czego sami autorzy chyba nie do ko ca s wiadomi, nie odró niaj bowiem analiz prowadzonych w perspektywie przedmiotowej czy materialnej od syntaktycznych metaanaliz). Mo na jednak na pewnym ogólnym poziomie próbowa ocenia warto całej tej charakterystyki poprzez konfrontację jej z rzeczywisto ci . W takiej sytuacji nale ałoby zwróci uwag na kilka kwestii. Przede wszystkim proponowany opis rzeczywisto ci społecznych za pomoc terminów takich, jak otwarto , brak centrum, niestabilno itp. nie jest niczym nowym czy oryginalnym, lecz raczej powiela pewn istnieją c w ostatnich kilkudziesi ciu latach tendencj do traktowania zjawisk społecznych w sposób „systemowy” czy „sieciowy” (na takie charakterystyki mo na natkn si m.in. u Tofflera, Castellsa czy Dahrendorfa). Jako ogólny obraz jest to wi c do przyj cia, problem polega jednak na tym, co z tego wynika w szczególach i w jaki sposób u yte poj cia pozwalaj zrozumie pewne konkretne zjawiska, których nie pozwalały zrozumie czy nawet skontualizowa terminy przeciwne - a wiec takiej jak centrum, stabilno , domknie cie itd. I tutaj pojawia si problem, zwi zany ze wspomnian ju wcze niej notoryczn nieprecyzyjno ci wywodów autorów *Hegemonii...*, polegaj cy na tym, e trudno przeło y ich abstrakcje na rzeczywisto . Nieliczne przykłady, maj ce obrazowa to, jak stworzony przez nich model „pracuje” w praktyce, swoj nieporadno ci przypominaj Engelsowskie próby zobrazowania logiki dialektycznej przykładami z ycia codziennego ludzi i motyli.

⁷ Bior c pod uwag brak zdefiniowania podstawowych terminów - o czym pisze w dalszej cz ci tekstu - wi kszo twierdze z *Hegemonii...* ma w gruncie rzeczy form arbitralnych deklaracji, ewentualnie zda analitycznych opartych na rozbiórce przyj tych wcze niej „pewników” (np. definicji hegemonii, „powi zania” czy dyskursu).

Zreszt nieporadno ta widoczna jest niemal zawsze, kiedy autorzy próbują formułować jakieś opinie dotyczące nie pojęcia, lecz rzeczywistości. Odnios się tu tylko do dwóch przykładów. Pierwsza rzecz, to kwestie ekonomiczne. Można odnieść wrażenie, że wykazawszy błędność marksistowskiego determinizmu ekonomicznego, autorzy w ogóle uznali ekonomię za czynnik społecznie nieistotny i niegodny uwagi. Dlatego też w całej książce nie znajdziemy odpowiedzi na pytanie, jak się cały ten model wiąże ze sferą gospodarki, jaka jest rola rynku (bądź centralnego planowania) w konstytuowaniu praktyk hegemonicznych, ani też jak wyglądałaby gospodarka w postulowanym socjalistycznym świecie urzeczywistniającym pełnię demokracji. Zamiast tego, znajdujemy jedynie ogólnikowe opisy zjawisk gospodarczych dokonywane za pomocą komunałów w rodzaju „imperialistyczny wyzysk”, „logika kapitalistycznej akumulacji”, „władza kapitału” *etc.*, co pozwala domniemywać, że przynajmniej pod tym względem autorzy raczej nie uwolnili się od prymitywnego marksizmu. Zreszt jest nawet gorzej, gdy, z uwagi na swój ekonomizm, klasyczni marksistowscy, czy, szerzej, lewicowi ekonomiści podejmowali przynajmniej polemikę z ekonomią wolnego rynku - przykładem niech będzie dyskusja Oskara Langego z von Misesem - tutaj natomiast mamy do czynienia albo z lekceważeniem, albo ignorancją.

Drugi przykład, związany z kwestią biurokracji, jest bardziej szczegółowy, jednak doskonale obrazuje specyficzny dla autorów dezynwoltur, jeżeli chodzi o możliwości powiązania ich wywodów z rzeczywistością. Zwracają oni, zreszt słusznie, uwagę na to, że traktowanie państwa jako czynnika demokratyzującego, a więc wyrównującego istniejące nierówności, prowadzi do upolitycznienia sfer dotychczas traktowanych jako prywatne i poddania ich biurokratycznej kontroli, co wywołuje reakcję sprzeciwu u jednostek, których wolność w ten sposób zostaje ograniczona. Krytykując (w pewnej mierze) ów sytuację, a także konstatając, że na wykorzystaniu owego sprzeciwu zbudowali swoje polityczne zwycięstwo neokonserwatyści, autorzy jednocześnie nie proponują takich rozwiązań, które w oczywisty sposób ową biurokratyczną kontrolę rozszerzają i wzmacniają, w jeszcze większym stopniu ograniczając indywidualną wolność, co na płaszczyźnie politycznej musi

- zgodnie z wcześniejszą diagnozą - prowadzi do rezultatów przeciwnych do oczekiwanych⁸. Na pytanie, w jaki sposób rozszerzając proces demokratyzacji i angażując państwo do pełnienia kolejnych nowych funkcji regulacyjnych i interwencyjnych można zarazem uniknąć biurokratyizacji, nie znajdujemy odpowiedzi. Co więcej, samo takie pytanie w ogóle nie zostaje postawione, co znowu wywołuje u czytelnika pewne zakłopotanie: czy chodzi tu o lekceważenie, czy też o ignorancję? I w ten sposób zbudowana jest cała ta konstrukcja: na ogólnym poziomie znajdujemy dość banalne konstatacje, z którymi od biedy można się zgodzić, jeżeli jednak zejdziemy niżej, w poszukiwaniu konkretnych, ewentualne wyjaśnienie znowu odsyła do ogólnego poziomu.

Papierowa rewolucja. Wszystko to jednak, jak wspomniałem, być może byłoby istotne w wypadku teorii rozstrzygnięcia sobie prawa (i ograniczonej) do opisu rzeczywistości; jednak w wypadku księki Laclau i Mouffe, podobnie jak w niemal całej tradycji marksistowskiej, teoria jest tylko momentem pośrednim między celami i sposobami ich realizacji, a jej zadaniem jest przede wszystkim sformułowanie reguł politycznego działania. Dlatego też, z tego punktu widzenia, na pytanie, dlaczego wybrany został lingwistyczny model do opisu zjawisk społecznych, można by odpowiedzieć po prostu, że tylko on umożliwił zadowalającą i przekonującą zarysowanie politycznego projektu, pozwalając przy tym pogodzić wnioski wyciągnięte z obserwacji przemian zachodzących we współczesnych społeczeństwach z owym ulotnym *czymś*, co pozostało z koncepcji Marksa po odrzuceniu jej fundamentów. Ów projekt polityczny można określić mniej więcej tak: należy walczyć z opartą na „relacjach podporządkowania” nierównością poprzez poszerzenie „rewolucji demokratycznej” za pomocą konsolidacji rozmaitych „ruchów emancypacyjnych”. Chodzi o skonstruowanie „nowej wyobraźni politycznej, radykalnie wolnościowej i emancypacyjnej oraz nieskończenie bardziej ambitnej pod względem celów niż wyobraźnia klasycznej lewicy”⁹, a więc o „skonstruowanie odmiennego systemu równości, opierającego podział społeczny na nowej podstawie”, co nie oznacza „odrzucenia ideologii liberalno-demokratycznej, lecz przeciwnie - jej

⁸Por. *Ibid.*, s. 170-171.

⁹*Ibid.*, s. 160.

połączenie i rozwinięcie w kierunku radykalnej i pluralistycznej demokracji”, a więc „poszerzenie pola walk demokratycznych w taki sposób, aby objęło ono całe społeczeństwo obywatelskiego i państwa”¹⁰, co prowadzi ma do „ureczywistnienia różnych elementów klasycznego ideału socjalizmu, który wymaga oczywiście poszerzenia i rewizji”¹¹.

I tu dochodzimy do zasadniczego problemu związanego z projektem Laclau i Mouffe. Wiemy już mniej więcej, że rzeczywistość społeczna jest pozbawionym centrum, otwartym i nieokreślonym zespołem zjawisk o charakterze antagonistycznym, nad którymi nadbudowywane są praktyki hegemonii; wiemy też, że w obecnej sytuacji należy konsolidować rozmaite działania oporu wobec istniejącej liberalno-konserwatywnej hegemonii i ustanawia „równoważące powiązanie między antyracyzmem, antyseksizmem i antykapitalizmem”¹², że należy walczyć o coraz większą demokratyzację i równość nawet kosztem wolności¹³ itd. Powstaje jednak podstawowe pytanie: dlaczego? Dlaczego mamy tak właśnie postępować, w jakim celu mamy to wszystko robić, co chcemy w ten sposób osiągnąć? Przedstawiona teoria uzasadnienia takiego nie zawiera, opisuje jedynie w ogólnikowy sposób strukturę społeczną i stwierdza, jakie działania musimy podjąć, jeśli chcemy np. zastąpić istniejącą praktykę hegemoniczną innymi. Ale dlaczego mielibyśmy to robić? Przeglądając *Hegemoni* ... w poszukiwaniu odpowiedzi, można znaleźć jedynie uzasadnienia, w których znów twierdzi się, że takie działania są „postępowe”, że chodzi o „zbudowanie bardziej wolnego, demokratycznego i egalitarnego świata”¹⁴, że walczymy o „radykalną, wolnościową i pluralistyczną demokrację”¹⁵ i ureczywistnienie bliżej nieokreślonego „ideału socjalizmu”. Te ogólniki jednak nie wystarczają, skoro bowiem filozoficzna teoria ma nie tylko opisywać świat, ale także służyć jego zmianie, w takim razie musi również umie odpo-

¹⁰ Ibid., s. 185-186.

¹¹ Ibid., s. 302.

¹² Ibid., s. 191.

¹³ „W przypadku walk feministycznych państwo okazuje się istotnym narzędziem, z którego pomocą, przeciwko społeczeństwu obywatelskiemu, dokonano niepostępowych zmian legislacyjnych w zakresie przeciwdziałania seksizmowi” (ibid., s. 189).

¹⁴ Ibid., s. 3.

¹⁵ Ibid., s. 6.

wiedzie na typowe filozoficzne pytanie: dlaczego? W imię jakiego dobra - ogólnego bądź konkretnego - mamy podjąć proponowane działania? Dlaczego powinniśmy dążyć do hegemonii dyskursu socjalistycznego, dlaczego mamy walczyć o „radykałną i pluralistyczną demokrację”? Na te pytania należałoby odpowiedzieć w sposób filozoficzny - albo odwołać się do jakiejś istniejącej teorii wartości, albo samemu ją tworzyć, tak, jak to zrobił Marks, uzasadniając konieczność dążenia do komunizmu w ramach własnej historiozofii. U Laclau i Mouffe jednak nic takiego nie znajdujemy. Na zasadnicze filozoficzne pytania mają one jedynie odpowiedź złożoną z politycznych ogólników: walczymy o socjalizm, o demokrację, o równość, o prawa i tak dalej. A dlaczego mamy walczyć o socjalizm? Bo gwarantuje on radykałną demokrację. A po co nam radykalna demokracja? Gdy w niej może być pełna równość. A po co nam pełna równość? Gdy umożliwi ona urzeczywistnienie ideału socjalizmu. Nic poza tym nie znajdziemy¹⁶.

Podsumowanie. *Hegemonia...*, pomimo zawartej w niej krytyki Marksa, wpisuje się w tradycję marksistowskiego podejścia do roli filozofii i polityki, w której zadaniem tej pierwszej jest dostarczyć programu dla drugiej. Pod tym względem Laclau i Mouffe różnią się od filozofa z Trewiru jedynie co do szczegółów, nie zaś istoty: on konstruuje swoją teorię za pomocą języka dziewiętnastowiecznej ekonomii, oni używają języka zaczerpniętego ze strukturalnej lingwistyki. Poza tym wspólny jest im specyficzny scjentyzm - przekonanie, że polityczna praktyka potrzebuje teoretycznej, „naukowej” podbudowy, że bez teorii ludzie poruszają się w polityce jak dzieci we mgle (tak opiniował Marks o zwikowcach, gardząc nimi za ich praktyczne, nie zaś teoretyczne podejście do polityki, które kazało im sceptycznie patrzeć na propozycję globalnej rewolucji). Owa potrzeba naukowości, której wyrazem u

¹⁶ Zresztą w całej książce można wskazać mnóstwo takich pozorów rozumowania. Czytamy np., że „postulat *równości* jest niewystarczający i musi zostać zrównoważony postulatem wolności, co dopiero pozwoli nam mówić o radykalnej i pluralistycznej demokracji” (s. 193), jednak autorom nawet nie przyjdzie do głowy, aby zapoznać czytelnika ze sposobem, w jaki rozumieją owe pojęcia wolności i równości, kluczowe dla całej filozofii polityki. Klasyczny problem relacji pomiędzy wolnością a równością ogranicza się tu do stwierdzenia, że ich polityczny projekt wymaga połączenia obu. Zupełnie nie kłopotczy się tym, jak takie połączenie miałyby wyglądać.

Marksa i jego komentatorów są stałe zapewnienia o tym, jak bardzo naukow nauk jest to, co robi, obecna jest także w *Hegemonii...* Co prawda nie zostaje ona wyrażona wprost, lecz wyczuwamy ją w samym pompatycznym stylu, sugerującym czytelnikowi, że oto ma do czynienia z twierdzeniami będącymi wynikiem długich i cichych analiz, podczas gdy w rzeczywistości musi cierpieć z chaosem pojęciowym i przedzierając przez komunały ubrane w hermetyczny argon. Epatowanie niby-naukow stylizacji (co zresztą było powszechnie u strukturalistów cech, wynikające z prób uczynienia zado pożytywistycznym postulatami i nadania naukom humanistycznym cichości)¹⁷ w pewnym sensie służy oszołomieniu czytelnika i wywołaniu u niego stanu pokory i szacunku w obliczu zimnej, niepodważalnej logiki wywodów. Teoria pełni tu bowiem również funkcję retoryczną: jej rzekomo naukowość ma być argumentem na rzecz przyjęcia wcale nie oczywistych projektów działania jako jedynych możliwych i słusznych w obecnej sytuacji. Dlatego też, jak wspominałem, zamiast metod strukturalistycznych można by z powodzeniem zastosować inne, np. teorie gier albo funkcjonalizm, o ile na poziomie werbalnym dałoby się ich użyć jako uzasadnienia takiej a nie innej praktyki politycznej.

Jednak, jak wspominałem, największą słabością *Hegemonii* jest to, że cały ów projekt nie ma innego umocowania niż owo retoryczne, pseudo-naukowe rusztowanie. W przeciwieństwie do Marksa, którego byłby autorzy chętnie puentują, zapomnieli oni o tym, że skoro ich teoria filozoficzna ma pełnić nie tylko rolę deskryptywną, ale również formułować pewne polityczne diagnozy i sugerować konkretne działania, trzeba to jako uzasadnić, choćby miało to być banalne odwołanie się do szczytów ludzkości. U Marksa teoria dyktująca polityczną praktykę wspiera się na pewnych filozoficznych rozstrzygnięciach - dotyczących

¹⁷ Warto zwrócić tu uwagę na pewien paradoks, polegający na tym, że humaniści chcąc zbliżyć swoje wywody do cichości, powiedzmy, fizyków, zwykle używają nadmiaru niejasnych, nieprecyzyjnych pojęć, eklektycznie czerpanych z nauk ścisłych, podczas gdy faktycznie jasno można uzyskać po prostu starając się wyrazić rzeczy za pomocą prostych słów, dokładnie tak, jak próbowali postąpić wielcy fizycy w rodzaju Feynmana, którego wykłady właśnie dlatego cieszyły się popularnością, że potrafił przedstawić skomplikowane rzeczy w sposób klarowny, prosty i przejrzysty. Niestety, humanistyka o roszczeniach do cichości uzyskuje zazwyczaj tyle, że potrafi przedstawić rzeczy proste w sposób mroczny i skomplikowany.

natury człowieka i wolności, charakteru zniewolenia, relacji między bytem a wiadomością - co pozwala ustalić pewien horyzont wartości. Teoria ta ma swoje wady i można na całkowicie ją odrzucić, znajdując w tym celu dobre argumenty antropologiczne, epistemologiczne, metodologiczne, aksjologiczne czy po prostu ekonomiczne, jednak przynajmniej pojawia się jako punkt odniesienia i przedmiot możliwej dyskusji. Natomiast u Laclau i Mouffe w ogóle z czym takim się nie spotykamy. Zadziwiające jest to, że powracając w całej książce pojęcia równości czy demokracji w ogóle nie zostają wsparte jak choćby szkielet antropologii, tak, jakby z szacunku dla strukturalistycznych mistrzów autorzy uznali, że wszelkie rozważania dotyczące „podmiotu” czy „człowieka”, jego potrzeb, interesów i celów niebezpiecznie zahaczałyby o „humanizm”, który byłby wiadectwem „nienaukowym” ich propozycji. W rezultacie dostajemy intelektualny wydmuszek: teoretyczny skorupk pokryty szlachkiem zaangażowania. Z politycznego punktu widzenia to i tak za dużo - takie same postulaty można formułować bez uciekania się do mitycznych uzasadnień - z filozoficznego jednak zdecydowanie zbyt mało, gdy podstawowe pytanie brzmi: dlaczego, w imię jakich wartości mamy postąpić tak, a nie inaczej, dlaczego ten, a nie inny wybór polityczny będzie lepszy?

Summary

My comments are focused on the theory of hegemony presented in middle 80. by Ernesto Laclau and Chantal Mouffe. I try to prove that this conception is weak both from philosophical and political point of view. It lacks ethical grounds and fails in methodology. I show that Laclau's and Mouffe's theory is some kind of theoretical humbug based on hermetical poststructuralist rhetoric and quasi-religious for Marx.